

Gajewski, Sławomir / Maruszewski, Włodzimierz Jan

Dziwak z Murzynowa : o doktorze habilitowanym Jacku Olędzkim – wybitnym etnologu, etnografie, antropologu kulturowym, profesorze Uniwersytetu Warszawskiego – z księdzem kanonikiem Włodzimierzem (...)

Nasze Korzenie 4, 123-124

2013

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.



O doktorze habilitowanym Jacku Olędzkiem – wybitnym etnologu, etnografie, antropologu kulturowym, profesorze Uniwersytetu Warszawskiego – z księdzem kanonikiem Włodzimierzem Janem Maruszewskim, wieloletnim proboszczem parafii pod wezwaniem św. Małgorzaty w Rokiciu, rozmawia Sławomir Gajewski.

Ksiądz kan. Włodzimierz Jan Maruszewski; fot. S. Gajewski.

Sławomir Gajewski: Spotykamy się dziś, aby wspomnieć postać nietuzinkową, którą znał Ksiądz osobiście. W zasadzie to dzięki temu człowiekowi w małej wiosce nadwiślańskiej, jaką jest Murzynowo, w piękny sposób upamiętniono jej dawnych mieszkańców. Proszę zatem coś z tej perspektywy powiedzieć czytelnikom „Naszych Korzeni” o dr. Olędzkiem.

Włodzimierz Maruszewski: Przybyłem do Rokicia jesienią 1987 roku. Jedną z pierwszych osób, jakie poznałem, był (chyba w listopadzie tego roku) właśnie pan Jacek. Przedstawił mi się, informując jednocześnie, czym się zajmuje. Powiedział, że jako badacz związany z Murzynowem chciałby nawiązać ze mną stały kontakt, argumentując to następująco: *mógłby się ksiądz zawsze czegoś ciekawego od nas dowiedzieć oraz coś nowego wniesić*¹. Nasze wzajemne kontakty były później częstsze. Wiosną i latem dr Olędzki wędrował pieszo ze swoimi studentami do Rokicia. Razem też opisywaliśmy kościół i znaki widniejące na świątynnych murach. Interesował się nie tylko samym kościołem, ale i życiem ludzi w parafii, ich zwyczajami i tradycjami. Najbardziej z kościołem w Rokiciu związane były wsie Murzynowo i Uniejewo. Doktor Olędzki wiele o tych wsiach napisał w swojej książce, którą od niego otrzymałem, a którą potem komuś użyczyłem i już nigdy do mnie nie wróciła² (śmiech). Tam cytował całe zdania i wulgarny, jakie usłyszał od tutejszych mieszkańców. Gdy były jakieś uroczystości kościelne, to pan Jacek zawsze z aparatem fotograficznym tam był (!). Mawiał wtedy: *To musi pozostać, to jest historia, którą trzeba uratować dla kolejnych pokoleń*.

SG: Czy pamięta Ksiądz jakieś zabawne wydarzenia związane z tym fotografowaniem?

WM: Na cmentarzu była procesja w dniu Wszystkich Świętych, więc i tam pan Jacek robił zdjęcia procesji, pokropienia grobów etc. Jednak w pewnym momencie nie zdążył uwiecznić jakiegoś ujęcia. Pamiętam, że gdy procesja ruszyła, on mnie zatrzymał

1. Doktor Jacek Olędzki miał tu na myśli ośrodek Mazowieckiego Obserwatorium Geograficznego Wydziału Geografii i Studiów Regionalnych Uniwersytetu Warszawskiego w Murzynowie.

2. J. Olędzki. *Murzynowo. Znaki istnienia i tożsamości kulturalnej mieszkańców wioski nadwiślańskiej XVIII-XX w.*, Warszawa 1991.

mówiąc: *Niech ojczulek poczeka, bo jeszcze nie zdążyłem zrobić zdjęć, jak ojczulek kropi tutaj groby*. Uśmiechnąłem się, ale specjalnie dla niego jeszcze raz poświęciłem grób. Chyba był to grób rodziny Torbickich z Murzynowa. Było oczywiste, że nie przepuści, że musi to tjać. Powiedział, że trzeba to uchwycić na kliszy pamięci. Wykonywał też zdjęcia z uroczystości Bożego Ciała. Fotografował każdy ołtarz, detal, procesję i chorągiew. Interesowało go to bardzo. Kilka razy składał mi wizytę, z której pożyczał ode mnie obrazy pochodzące z byłych ołtarzy stacyjnych, na wystawę w spichlerzu muzealnym w Płocku.³ Ale już miesiąc po zwróceniu mi tych obrazów powrócił z nowym pomysłem, żeby mianowicie zrobić tu w Murzynowie, w ośrodku UW, podobną wystawę. Potem za każdym razem, gdy chciałem je odzyskać, mówił mi: *Jeszcze trochę, jeszcze trochę, bo tu u księdza nikt tych obrazów nie ogląda*. Namawiał mnie, żeby w domu katechetycznym otworzyć małe muzeum przedmiotów kultu religijnego. Tłumaczyłem, że to niemożliwe, bo trzeba byłoby zrobić jakieś zabezpieczenia i ktoś musiałby tego wszystkiego pilnować. Zawsze jednak podkreślał,

3. Mowa tu o zorganizowanej w Muzeum Mazowieckim w Płocku w 1994 r. wystawie *Vanitas vanitatum... Przemijanie i trwanie w kulturze Murzynowa, wioski nadwiślańskiej koło Płocka*. Informator wystawy pod tym samym tytułem, Płock 1994, 20 s.



Jacek Olędzki podczas otwarcia wystawy *Vanitas Vanitatum...* w Muzeum Mazowieckim w Płocku (spichlerzu) w 1994 r.

FRAGMENT WYSTAWY
VANITAS
VANITATUM...



że wszyscy powinni mieć możliwość ich obejrzenia. Przejrzał mój strych (śmiech). Na wspomnianą wystawę „wyduślił” stare rzeźby z figurek przydrożnych, których już nie ma w parafii, np. korpus Pana Jezusa o wysokości 50 cm i drewnianego aniołka. Martwił się losem utworzonego przez siebie muzeum. Kiedyś głośno zapytał: *Co z nim będzie, gdy mnie zabraknie?* Odpowiedziałem wtedy: *Panie doktorze, może ktoś z Murzynowa, z przyjaciół, znajomych tym się zajmie? Albo pracownicy z murzynowskiego ośrodka?* Na to on z rezygnacją w głosie powiedział: *Może i tak, ale obawiam się, że oni nie uszanują, nie będą tak tego kochać.* Szczerze podziwiałem tego człowieka, choć we wsi uznawano go za dziwaka i oryginała.

SG: Mimo to stosunki Olędzkiego z mieszkańcami były raczej poprawne?

WM: Tak, zdecydowanie tak. Ludzie na wsi czasami się uśmiechali, że niby dziwak, lecz generalnie był szanowany. Zresztą to „dziwactwo”, jeśli w ogóle można użyć tego słowa, było odnoszone do jego pasji badawczych. Poza tym był miłym człowiekiem, z którym można było serdecznie porozmawiać. Ilekroć był w kościele, zawsze z szacunkiem przyklęknął.

SG: Razem z dr. Jackiem Olędzkim opisywali Panowie owe słynne tzw. znaki tożsamości, które widnieją na ścianach kościoła parafialnego. Czy może Ksiądz opowiedzieć, jak to się odbywało?

WM: Gdy przybywał ze studentami, to może nie tyle znaki tożsamości, ile imiona i daty badali. Dla przykładu jest napis „Anno

Domini 16...” i nieczytelne końcowe cyfry „48” lub „49”. Jak rozwikłać problem? Pan Jacek miał oryginalne podejście do tej sprawy. Gdy było przykładowo 22 studentów, pytał wszystkich, co tam widzą, jak odczytują datę? Gdy z całej grupy studentów, powiedzmy piętnaście osób, było tego samego zdania, uznawał, że ta większość ma rację. Byłem raz świadkiem takiego zdarzenia.

SG: A jaka jest opinia Księdza na temat tych znaków?

WM: Ich obecność na murze kościoła nie była dla mnie zaskoczeniem. Wcześniej pracowałem w Golubiu-Dobrzyniu jako wikariusz. Tam, w sąsiedniej parafii w Golubiu, znajduje się kościół gotycki z analogicznymi jak tu w Rokiciu wgłębieniami w ścianie. Pan Jacek mówił, że były to znaki, którymi znaczone pochowanych na terenie cmentarza przykościelnego albo ślady pokutne. Osobiście uważam, że są one śladem po rozniecaniu ognia w Wielką Sobotę. Znaki pokutne? Niemożliwe żeby kciukiem zrobić takie wgłębienia. Chociaż niektórzy podkreślają, że ludzie bardzo wstydzieli się swoich grzechów, a ściana, na której te znaki się znajdują, jest po przeciwnej stronie kościoła w stosunku do wioski.

SG: Jak wspominają dr. Olędzkiego tutejsi mieszkańcy?

WM: Cóż, gdy dr Olędzki zachorował i wyjechał do rodziny w Warszawie, od ludzi dowiedziałem się, że nie żyje. Z Murzynowa ludzie zamawiali msze święte w intencji zmarłego pana Jacka. Zawsze było około 15 osób. Tutejsi mieszkańcy dobrze go pamiętają i często wspominają.

SG: Dziękuję bardzo za rozmowę.

Jacek Olędzki oddaje hołd generałowi Orliczowi-Dreszerowi pod tablicą przy kościele Rozesłania Apostołów, Chełm, 17 VIII 1997; fot. Z. Chlewiński.

Postscriptum

Doktor hab. Jacek Olędzki zmarł 11 sierpnia 2004 roku w wieku 71 lat.

Spotkałem się z nim tylko raz, latem 1999 roku, w jego małym muzeum w Murzynowie. Siedział przed chatą-muzeum przy stole, z pusztą butelką po winie. Przywitał mnie oryginalnie, tak jak żył, wbijając nóż w blat drewnianego stołu. Lecz zrobił to z pewnością nie po to, żeby mnie zniechęcić swoim nietypowym zachowaniem. Obok siedział jakiś chłopak, zapewne student, i coś pisał. Poprosiłem o zgodę na wejście do chaty w celu obejrzenia eksponatów. Zgodził się, ale wyjaśnił, że mnie nie oprowadzi, bo gdzieś się śpieszy. Faktycznie, po chwili przyszedł jakiś gość i razem, mocno gestykulując, oddalili się w kierunku wsi. Spędziłem tam około 20 minut w zupełnej samotności, zdumiony stosem skorupki z kurzych białych jaj na kuchennej pokrywie. Było w tym coś absolutnie irracjonalnego, lecz wspominam to z największą przyjemnością.

Wielka szkoda, że po takim człowieku, który oddał serce i pasję mazowieckiej wsi nad Wisłą, zatracą się bezpowrotnie idea jego wiejskiego muzeum. Wiele z eksponatów, które wówczas widziałem, jakimś dziwnym trafem zniknęła, po prostu gdzieś przepadła. Chata, w której z takim pietyzmem tworzył muzeum, staje się z wolna żalosnym jej wspomnieniem. Najbardziej jednak boli to, że ludzie, którzy go osobiście znali, nawet nie pomyślały o napisaniu jakichś wspomnień. Mam tu na myśli zwłaszcza wiele osób z Płocka.

Cóż panie Jacku, oni naprawdę są ludźmi wygasłego wejrzenia...

Sławomir Gajewski

